

Młodzieżowa
Agencja
Wydawnicza
RSW
„Prasa-Książka-Ruch”

01-028 Warszawa, Aleja Solidarności 53

Sztetn - przegląd kulturalny

00-375 Warszawa, ul. Smolna 12,

16/17 28-01-5-05-91
nr z dn.

Bożena Winnicka

Wesoła agonía polskiej klasyki

BAR, BILARD, BUTIK

Butik zajął miejsce biura organizacji widowisk. Bar pod nazwą „Antrakt” znajduje się w foyer pierwszego piętra, tuż obok wejścia na widowisko. Jest kawa, słodczyce, gorące dania oraz cocktaile: czerwony, żółty i pomarańczowy. Wódka wyłącznie fińska, soki też nie z Hortexu. Ustawiono tu dwa stoły billardowe, otoczone ciągle wianuszkami ciekawskich. Ceny prawdziwie europejskie. Nasz, swojski jest za to gęsty zakis papierosowego dymu, i nie tylko, tak charakterystyczny dla wszystkich polskich sal i zbiorowisk.

Leszek Kodrzycki ma rację i inicjatywę. Kiedy się jest dyrektorem tak gigantycznego budynku, trzeba go przecież zagospodarować, żeby jakos żył no i trochę też pozarabiał, skoro może. Zatem niechże sobie będzie butik, bilard, nawet za przeproszeniem burdel, byle tuż obok, na scenie zarządzić się nadal prawdziwą sztuką. W tym roku tliło się ledwo, ledwo, a żywiej zapęgliła właściwie tylko ta, i to nie za sprawą wiel-

KLASYK — KTO TO JEST?

Z repertuaru tegorocznych konfrontacji wynika, że klasyk to każdy pisarz, który nie żyje. Nie musiał wcale pisać dla sceny, o nie! Jest już przecie absolutnie bezbronny, zatem wszystko, co pozostawił, można wymieszać, doprawić, zabarwić. I gotowe. Na scenie, jak w barze „Antrakt” serwowano trzy rodzaje takich cocktaili: klasykę wątpliwą, klasykę niewątpliwą i klasykę rozśmieszającą.

Klasyka wątpliwa to Gombrowicz, Schulz, ewentualnie Witkacy. Może myślę zbyt tradycyjnie, jak na obecne bezholowe, zgoda. Jednak jest w tym coś podejrzanego, że z jednym i tym samym przedstawieniem można objechać wszystkie trzy ogólnopolskie festiwale, chociaż każdy z nich ma zupełnie inną formułę. Recepta jest prosta: bierze się dowolny utwór, na przykład Gombrowicza, a najlepiej parę jego kawałków, dowolnie wybranych. Mogą do siebie nie przystawać, nie szkodzi. Wszak wiadomo, że Gombrowicz

FARSA? A FE!

Po bezczelnym wyznaniu pora na herezję. Według mnie najlepszym spektaklem Opolskich Konfrontacji był Juliana Tuwima *Zołnierz królowej Madagaskaru* z Teatru im. Wilama Horzycy w Toruniu. Wystąpił w kategorii klasyki rozśmieszającej obok rozpaczliwie niedobrego przedstawienia *Ciężkich czasów* Michała Bałuckiego, pokazanego przez gospodarzy. Naprawdę niepotrzebnie.

Wszyscy wiemy jak trudno zrobić farsę, przyrządzić ją bez szarży, aktorskich przerysowań, reżyserskich uproszczeń. Rzecz zadziwiająca. Toruńskie przedstawienie jest bardzo profesjonalne, ma wdzięk, lekkość, zrobiono je z inwencją, smakiem i wyczuciem stylu. Wiele tu reżyserskich pomysłów, a wszystkie przednie. Aktorzy grają ucieśnieni, chociaż nikt tu nie szmirzy, nikt się nie wygłupia. Ten smakowity cocktail przyrządził młody reżyser Piotr Cieślak. Warto zapamiętać to nazwisko.

Tym razem jury się zalałalo. Zre-



powinien gościć na opolskiej scenie z okazji siedemnastych Konfrontacji „Klasyka Polska”. Nie zagościł. Dlaczego?

Dziennikarzy na festiwalu nie było, bo i skąd, zatem nikt się ze szcztakami prasy nie spotykał, bo i po co? Na pytanie: w czyjej głowie urodził się repertuar, organizatorzy odpowiadali przebiegle znad cocktailu, że jedynym odpowiedzialnym jest dyrektor artystyczny festiwalu, a zarazem także teatru opolskiego, pan Szczepan Szczykno. Coż, kiedy pan Szczykno, bardzo zresztą sympatyczny, mignął nam jeno niby sen jaki złoty i... wyjechał. Aktorzy występujący w Opolu opowiadali, że zaproszenia na festiwal nadeszły nagle i w ciemno, nikt bowiem przedtem spektakli nie oglądał. Rozkoszną dezynwolturę, z jaką lepiono tegoroczne konfrontacje potwierdzały mały skandalik i wielkie zamieszanie z przedstawieniem *Slubu* Witolda Gombrowicza z łódzkiego Teatru im. S. Jaracza. *Slub* zaproszony, a bilety sprzedano na całą wielką widownię opolskiego teatru. Nikt nie sprawdził, że spektakl grany jest w małej przestrzeni, dla stu pięćdziesięciu raptem widzów. A nie trzeba było się fatygować aż do odległej Łodzi; wystarczyło przerzucić ze dwie recenzje.

Wszystko to są plotki i bardzo za ten niegodny ton przepraszam. Odaje on jednak atmosferę czegoś, co było niegdyś najpoważniejszym, najważniejszym i najczciodszy ogólnopolskim festiwalem teatralnym. Towarzysząc tej imprezie od osiemnastu lat, o ile dobrze pamiętam. Blisko setka oglądanych tu przedstawień to bagaż spory i bardzo nieporęczny, jak się okazuje. Pamięć, tak nieodzowna w zawodzie recenzenta, nie pozwala bowiem zachwycać się byle świecidełkiem, radować z tego, że jednak coś się porusza, choć by w istocie gmerało się tylko, niedołężnie i pokracznie.

Dawnych naszych dramatów gramy coraz mniej, to prawda. A jednak jest na scenach Krasński i Wyspiański, jest też Fredro, Norwid, Feliński, Zapolska, Perzyski. Wystarczy wnieść do ręki ołówek i stuknąć na los szczęścia w repertuar, drukowany w „Goncu Teatralnym”. Z zamkniętymi oczyma. Być może nie trafimy w przedstawienie wybitne, ale z pewnością nie gorsze od tych, które znalazły się w Opolu. Z przyczyn zgoła niepojętych.

rzędzoną mieszaninkę pokazujemy najpierw w Opolu jako klasykę, potem wędrujemy do Kalisza na przegląd upadku sztuki aktorskiej, sezon zaś wienczymy festiwalem polskich sztuk współczesnych we Wrocławiu. Pasuje? Jeszcze jak!

Przykład — *Biesiada u hrabiny Kotlubaj* w adaptacji i reżyserii Jacka Bunscha. Opowiadanie Gombrowicza ugarbirowano szcztakami *Trans-Atlantyku* i *Dzienników*. *Biesiada* jest sesją kanibali i wampirów. Stwory to obrzydłe niczem Drakula. Zeby zaś było odważnie, drapieżnie, przebojowo, zaprawiono to wszystko hurrapatriotyzmem, błagą, ciach szabelką i piosnkami w rodzaju *Hej, Strzelcy wraz!* Przedstawienie jest sprawne, ładnie zakomponowane, dobrze grane, tyle że puste i poza banal nie wykracza. Boleśnie niestrawne były za to bezsensownie wymieszane spektakle z prozy Brunona Schulza — *Artysta niepotrzebny* z Teatru Studyjnego w Łodzi i pokazywana poza konkursem *Biesiada polska* według Gombrowicza. *Nieszczęsny* Gombrowicz, przewidział co go czeka. Dawno, dawno temu pisał: „Ha, już to ruszyło, już jeden drugiego będzie podbechtował — proces wyolbrzymiania mego na długie lata zapewniony! Floria! Gloria! G...! G...!”. I rzeczywiście.

Klasykę niewątpliwą reprezentowały dwa przedstawienia: *Fantazy* w reżyserii Tadeusza Bradeckiego ze Starego Teatru w Krakowie i *Balladyna* wyreżyserowana przez Jarosława Kiliana z Teatru Polskiego w Szczecinie. Spektakle absolutnie różne, łączy je przecie podobny stosunek do romantycznego dramatu.

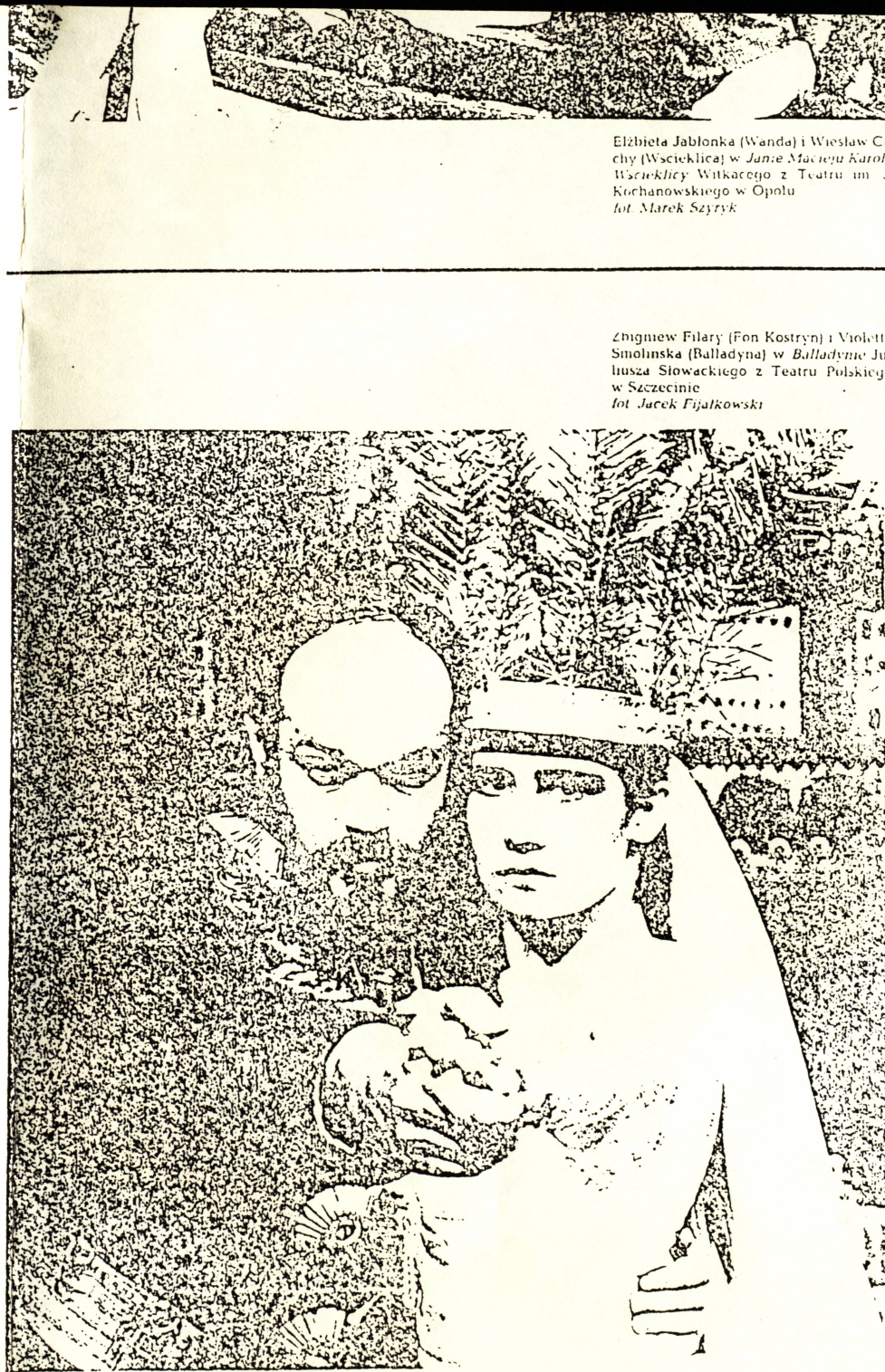
Jak gramy romantyków? W tonie parodystycznym, z drwiną i lekceważeniem. Jarosław Kilian umieszcza *Balladynę* w teatrze jarmarczonym, wywodzącym się z *Funambules*. Pomysł wdzięczny, nie pozbawiony sensu, ale sprawdza się tylko na początku. Potem forma zaczyna uwierać i Słowacki ani rusz nie daje się wcisnąć w uciśną zabawę. O *Fantazym* pisałam już obszerniej w „Słowie” (nr 14), bardzo niepochwlebnie. Przedstawienie odznaczono główną nagrodą festiwalu, co poniekąd zrozumiałe wobec braku konkurencji. Nie zmienia to jednak mojej o nim opinii i doprawdy nie na to nie poradzę.

wywołał dwie nagrody: reżyserską i dwie aktorskie — dla Włodzimierza Maciudzińskiego za rolę Mazurkiewicza i dla Zofii Melechówny za „drugoplanową” rolę Ruczkowskiej.

Telewizyjne i prasowe wypowiedzi krytyków-jurorów pełne były pochwał, dość wstrząsających, i tłumaczeń, nieco pokrętnych. Jakże to! Nagrodzić farsę? *Zołnierzem królowej Madagaskaru* mógł się zachwycać taki Boy na przykład, ale my? Nie uchodzi, nie uchodzi. Myślę, że pora się zdecydować: albo idziemy z duchem czasu, albo robimy za króla Ducha. Co do mnie, wolę umiejętnie zrobioną farsę niż skóconego *Fantazego*. I na to też nie nie poradzę.

Sprawa jest poważna, wypada więc porzucić ton, zbyt już doprawdy niefrasobliwy. Obydwa spektakle klasyki niewątpliwie, a więc *Fantazy* i *Balladyna* świadczą o pewnej bezradności teatru wobec wielkiego dramatu. „Tego nie da się dzisiaj zrobić, nie da się zagrać” mówią sobie zapewne w ciuchoci ducha reżyserzy. Ten monumentalny patos, owa wzniosłość, uczuciowość, rozbuchana i niespójna teatralność, rozpoetyzowanie, a wreszcie wyrafinowanie myśli — wszystko jest przecież zaprzeczeniem naszego zwyczajnego, trzęźwego i powszechnego prostactwa. Jaka publiczność zechce tego słuchać? Kto podejmie wysiłek, niewątpliwie konieczny, aby to zrozumieć? Stąd zapewne usilne starania, aby ściągnąć ten dramat do naszych wyobrażeń, zredukować do dzisiejszych rozmiarów. Te lęki teatru, całkiem zresztą zrozumiałe, wywołują zapewne ów dystans, ton ostrej parodii, prześmiewczy wysięg. Wytykamy więc paluchem „czerep rubaszny”, kpiąc też potężnie z „duszy anielskiej”. A efekty? Na scenie coraz uciśniej, na widowni za to coraz smutniej. I tak trwa ta wesela agonia klasyki. Jak tak dalej pojdzie, nasz romantyczny dramat powróci na miejsce, które zajmował za życia wieszczów — na biblioteczne półki. Nie wiem, czy nam, „pożnym wnukom” wypada się z tego cieszyć.

PS. A jednak coś pelga. Łódzka szkoła teatralna pokazała w Opolu *Klub kawalerów* Bałuckiego, warszawska — bardzo zabawne *Fredraszki*. Aktorska młodzież ciągle jeszcze „bierze” klasyków. Zapewne w nadziei, że w dorosłym, zawodowym teatrze uda im się nie popaść w same tylko „kotlubaje”. (B.W.)



Elżbieta Jablonka (Wanda) i Wiesław Cichy (Wścieklica) w *Janie Macieju Karolu Wścieklicy* Witkacego z Teatru im. J. Kochanowskiego w Opolu
fot. Marek Szyryk

Zbigniew Filary (Fon Kostryn) i Violetta Smolinska (Balladyna) w *Balladynie* Juliusza Słowackiego z Teatru Polskiego w Szczecinie
fot. Jacek Fijałkowski